Lwów, 17. Sierpnia. № 98. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Zlr.— półrocznа **3** Zlr — kwartalna **1** Zlr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Zlr.— półrocznie **4** Zlr.—kwartalnie **2** Zlr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po **1½** kr. i za dopłatą **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Stojącemu na śliskim i okrągłym konarze, i przy wszelkiem natężeniu uwagi kołyszącemu się ciągle to na tę to na ową stronę, tyle tylko potrzeba było, ażeby od razu stracić przytomność i równowagę. Równocześnie też z tą przerażającą przestrogą młody filozof zadrzał, zachwiał się, i zsunąwszy się ze ślizkiego konaru, wszył się jak piorun pomiędzy szeleszczące liście tego dziwnego mostu, a lecąc w głąb bez pamięci, słyszał tylko szczekanie pieska i Cha! cha! cha! śmiech ironiczny, przeciągły, tuż gdzieś nad sobą.

Gdyby ten niebaczny wędrowiec spadł był z samego środka owego mostu, i lecąc przez czyste powietrze trafił od razu na skaliste dno tej przepaści, był-by zapewne już w kilka dni potem krzyż tam stał gdzieś na brzegu, a po całej pod-beskidowej krainie byłaby się rozeszła arcy-piękna legenda o niebacznym młodzieńcu, którego nad Jarem pogańskim porwały Dziwożony i wyssawszy zeń krew i soki żywotne, strąciły potem w przepaść bezdenną z skał niebotycznych. Ale Kamil zsunął się z mostu tylko o trzy kroki od brzegu i padł nie daleko na miękką ziemię pomiędzy bujne pokrzywy i chwasty. Zkocił on się wprawdzie stamtąd aż na same dno Jaru, wyrywając po drodze z korzeniem wszystko, czego mógł się tylko uchwycić, ale pomimo to nie odniósł on stąd żadnego innego szwanku, jak tylko że się przestraszył okropnie, popiekł trochę i pokłół i swoje płócienne ubranie tak pięknie umalował przedpotopowem błotem, że kiedy się zebrał ze ziemi, wyglądał jak Kobold niemiecki, wyłażący ze swego błotnistego ukrycia.

Powstawszy na nogi na dnie przepaści i przekonawszy się dowodnie, że jest jeszcze i żywy i cały, ochłonął z przestrachu i począł się oglądać za miejscem, którem-by mógł się na powrót na brzeg wydrapać, — a wtem znowu głos mu się dał słyszeć z góry:

— A żyjesz ty tam jeszcze biedaku?

Wzdrygnął się Kamil na ten głos powtórzony i rzucił za nim oczyma, — lecz tym razem ujrzał już żywą i rzeczywistą istotę. Była to młodziutka, ślicznego wzrostu i cudownej kibici dziewica. Twarz jej była cokolwiek owalna lecz pełna i tak świeża wiosennie, że jeżeli podlegała takim warunkom wieku jak zwykli ludzie, to mogła mieć najwyżej lat szesnaście. Oczy jej były ciemnego koloru, pełne życia i ognia, lecz zarazem bijące takim jakimś wczesnym a zmiennym blaskiem, że podczas kiedy w jednej chwili zdawał się tylko głęboko filuternym i ironicznym, inny raz rzucał jak najwyraźniej jakieś przerażające, demoniczne promienie. Główka ta cała, jaśniejąca niepospolitą i uderzającą pięknością, okrążona była bogatemi splotami lśniących, czarnych jak heban włosów, które pomimo swojej czarności jednak przebijały do światła jasnym połyskiem złota. Ubiór jej główny składał się z sukni długiej karmazynowego koloru, co przy majowej zieloności tła, na którem się odbijała, dawało jej jakiś pozór dziwnie jaskrawy; na głowie miała mały kapeluszyk słomiany, okrągły, z wąską kanią i zupełnie kształtem kapeluszów goralskich zrobiony; kapelusz ten podwiązany był wstążką szeroką białą a na około jego główki osadzony był świeży wieniec z kwiatków polnych i liści. Na ramionach miała ona także zawieszone dwa wielkie wieńce i jeszcze jakąś zieleń leśną około siebie, a u jej pasa wisiała długa szpicrózga z rączką metalową. Koło niej po jednej stronie stała mała sarneczka, niewiedzieć dlaczego spoglądająca jej w oczy, po drugiej łasił się koło jej nóg mały charcik angielski, ona zaś sama trzymając wielki badyl dziewanny w ręku, chwiała nim dla rozrywki w powietrzu i przechylając się z brzegu, zaglądała ciekawie za upadłym w głąb jaru młodzieńcem.

Obaczywszy takie zjawisko niezupełnie jeszcze świadomy siebie młodzieniec, cofnął się zrazu i sam niewiedział co myśleć. Przyszły mu zaraz na myśl dziwożony wachmistrza, i mrowie ge przeszło, — rozum przemówił do niego i roześmiał się z bajki ludowej; ale znowu postać takiej dziewicy w puszczy leśnej, postać samotna, z psem, sarną, badylem w ręku, ubrana w kwiaty i wieńce, mająca coś czarodziejskiego w całym ubiorze i zresztą zupełnie z opisem starego Szłyka się zgadzająca... cóż-by miała znaczyć taka postać w tem miejscu?... I znowu poruszyło się trwożliwe serce w Kamilu. Lecz przecie nakoniec przemógł rozum i silna wola, i Kamil jak najspokojniej zaczął się drapać napowrót na brzeg przepaści, tę tylko naciskającej nań trwożliwości czyniąc koncesyę, że się nie drapał na ten brzeg, na którym stało owe nieodgadnione zjawiska, tylko na tamten, któren w swoim upadku tak nielitościwie z najpiękniejszej ozdoby obszarpał.

Wydrapawszy się już nakoniec na brzeg i stanąwszy na twardej ziemi, odetchnął Kamil swobodnie, i oparłszy się plecyma o drzewo, zaczał się pilnie przypatrywać po tamtej stronie stojącej dziewicy. I patrzał na nią z wielkiem zajęciem, a im więcej się oswajał z jej widokiem, tem bardziej mu się bałamuciło w głowie, tem ciemniej mu się robiło w oczach i tem ciemniejsze jakieś uczucia odzywały się w jego sercu. Takiej postaci Kamil jeszcze nigdy nie widział w życiu, wszystko dla niego było nowe, wszystko jakieś dziwne, niby z nieba upadłe, nie przeczuwane nigdy i nie pojęte. Więc stał tak milcząc i patrząc że się zdawał w tej chwili posągiem, wykopanym ze ziemi i dla oschnięcia z wilgoci postawionym pod drzewem.

Dziewczyna zaś stojąca po tamtej stronie także nie bez zajęcia patrzała na niego, — on może także był dla niej nieodgadnionem zjawiskiem.— Wszakże pomimo to nie było widać na jej twarzy wielkiego zdziwienia, nie było widać nieprzytomności. Przeciwnie nawet coraz częstszy, coraz filuterniejszy uśmiech przebiegał po jej prześlicznej twarzy, aż nareszcie jeszcze raz okiem rzuciła na istotnie śmieszną w tej chwili postać w błocie wywalanego młodzieńca i parsknęła w śmiech tak głośny i przenikliwy, że aż sarneczka odskoczyła od niej na stronę i piesek zaszczekał.

Na to Kamil spojrzał po sobie i znajdując się rzeczywiście prędzej do diabła pińskiego, niż do człowieka podobnym, także się głośno roześmiał.

I śmiali się tak oboje, patrząc wzajemnie na siebie. I ten śmiech ich jakoś oswoił ze sobą i poośmielał, że nareszcie w głos się spytała dziewczyna:

— I któż ty jesteś diabełku, który tak śmiało skaczesz w dół z mostów?

— Ja? — powtórzył Kamil jeszcze pod wpływem śmiecnu, — ja..... ot! doprawdy sam właściwie nie wiem, czem jestem.... wiem, czem byłem niedawno, wiem nawet, czem będę... ale teraz.... ot! tak sobie się błąkam po lasach i górach i nazywają mnie wszyscy paniczem...

— Nie wiedząc o tem, że jesteś właściwie niczem! cha! cha! cha! prawda? — przerwała mu z pustym śmiechem dziewczyna.

— Ale ty, ty kto jesteś? — prowadził dalej Kamil rzecz swoją, — która strącasz ludzi w przepaście i jeszcze się potem z nich śmiejesz.

— Ja jestem Dziwo-żona, pani tych lasów i gór! — odpowiedziała z ironiczną przesadą dziewczyna.

— Dziwo-żona! o! bardzo! — odrzucił filozof, - tak-to wyglądają te nimfy, które chłopców chwytają i duszą? Takie młode i ładne i puste....

— A tak, tak wyglądają, — powtórzyła Dziwo-żona,— i chwytają chłopców i duszą ich, patrz! takiemi wieńcami z liści i traw... albo ich przemieniają w pieski, albo w sarneczki, patrz! ja już dwóch tak przemieniłam.. albo ich strącają z mostu do błota, cha cha cha! tak tak!...

I to rzekłszy, pokłoniła się parę razy Kamilowi z ironicznym uśmiechem, cofając się w głąb gęstwiny i pozdrawiając go wieńcami, — a kiedy już weszła w las gęsty i tylko migała pomiędzy drzewami jej karmazynowa sukienka, jeszcze raz się obróciła ku młodziencowi, kłaniając mu się i mówiąc: Tak, tak paniczu! tak, tak!... aż nareszcie całkiem zniknęła w ciemnościach puszczy odwiecznej, i tylko słychać było jakąś wesołą piosnkę, której coraz bardziej słabnące tony dochodziły ciekawych uszu zdumionego Kamila.

I już potem z tego dziwnego zjawiska ani śladu nie zostało na tamtym brzegu, i piosnka już ucichła i ostatnie jej tony przebrzmiały: a Kamil stał wciąż jeszcze pod drzewem, patrząc nieruchomie w gęstwinę lasu, bo mu się zdawało, że jeszcze wciąż widzi migające się fałdy czerwonej sukienki, że jeszcze słyszy czarujący głos:

Tak! tak!... bo mu się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, — a to echo grało.

Echo odzywające się w jego duszy i sercu, echo jakieś nieodgadnione, które go od razu pozbawiło tak dobrego humoru, które go zaczarowało, zmięszało i napełniło taką jakąś rzewnością i tęsknotą, że podobnego uczucia jeszcze mu się nigdy nie zdarzyło doświadczyć w życiu.

I musiał długo jeszcze tam tak stać i marzyć pod drzewem oczarowany młodzieniec, bo już mrok szary zapadł do koła, kiedy się dowlókł powolnym krokiem na dziedziniec ojcowskiego dworu. W dziedzińcu panowała już cisza grobowa, jak zwykle o tej godzinie, a staruszkowie obadwa siedzieli wedle zwyczaju pod gniazdem bocianiem, i rozmawiali o czemś dość żwawo. Gdy ujrzeli Kamila, nagle obadwa ucichli, a stary wachmistrz przypatrując się przybyłemu, wybuchnął w śmiech głośny i zawołał:

— Quintum djabłum mospanie! a tyś się gdzie tak pięknie ubrał?

Zapomniawszy całkiem o swoich sukniach splamionych, Kamil się zmięszał i niewiedział co odpowiedzieć, ale ojciec go sam niechcący wyrwał z tego kłopotu, obracając się do niego i mówiąc:

— A pan gdzieś latasz światami, a tu tymczasem ważne przyszły nam wiadomości.

I opowiedział dalej Kamilowi, że właśnie xiądz Augustyn powrócił z stolicy, że się tam dowiedział i przekonał o wszystkiem, że wszelkich sił używał ku temu, ażeby wynaleść jakiś sposób zatarcia Kamilowej przewiny, ale że wszystkie jego usiłowania nie zdały się na nic. Czas chyba tylko jeden i to przy wielkiej łasce pana Boga potrafi zmazać z niego tę klątwę, którą się sam przez lekkomyślność obrzucił. Dla tego teraz nie pozostaje mu nic innego, jak siedzieć cicho w domu, ile możności jak najmniej pokazywać się ludziom, i pomimo to jeszcze mieć się wciąż na baczności, bo poszukiwania winnych odbywają się ciągle i to z wielką energią.

I potem długo jeszcze pan Bonawentura perorował synowi, wymyślając na jego niebaczność i lekkomyślność, i starając się mu wyłożyć naocznie, jak to we wszystkich tego życia kolejejach trzeba być bacznym na siebie, jak oględnym w uczynkach a w przedsiębiorstwach wyrachowanym i pewnym, że korzyść wygranej przeniesie w wartości swej wszelką możliwą stratę na wypadek przegranej. Ale Kamil zaledwie w połowie słuchał perory ojca, a i to jeszcze co usłyszał, wiele nie zapisywał w pamięci. On całkiem był nieprzytomny, nie dlatego ażeby się przeląkł niepomyślnych wiadomości, przywiezionych przez xiędza z stolicy, nie dlatego ażeby się zmieszał zastraszającą niepewnością swojej przyszłości, nie dlatego nakoniec, ażeby na widok śmierci swoich wszystkich marzeń i wszystkich nadziei upadł całkiem na duchu i władzę utracił nad sobą: ale dlatego, że dzielnego szermierza w krainie teoryi pochłonęła całkowicie drobna rzeczywistość i że w tej chwili Kamil stał przed ojcem tylko swoją materialną połową a wszystko reszta, cały duch jego ze wszystkiemi władzami umysłu i serca został tam gdzieś w tej leśnej pustyni, nad owym jarem głębokim, przy owym dębie olbrzymim, klęczący na zwiędłych wieńcach przez dziewczynę rzuconych i zaglądający przez drzew gęstwinę, ażali nie dojrzy jeszcze raz jej karmazynowej sukienki, lub nie ułowi choć jednego tonu jej piosnki swawolnej.

Noc następną miał Kamil dziwnie burzliwą i niespokojną. W pół śnie a pół jawie wywracał on się na łóżku aż do samego świtu: widział mary jakieś nęcące a straszne, Dziwo-żony wyskakujące ze skalnych pieczar i tańcujące z drzewami po lesie, rusałki wypływające z jezior śpiewających, duchy jakieś straszne lecące powietrzem, a kiedy usnął o świcie, przyśniły mu się jakieś głębokie piwnice, jakieś lochy podziemne, żelazne kraty i kajdany.

Dnia tego rano wstał on jakiś ciężki na umyśle i ciele, widma nocne snuły mu się jeszcze po głowie, lecz w jego sercu odzywała się tylko sama tęsknota i niecierpliwość. Nie umiał on sobie z tego stanu swego zdać jasnej sprawy, może nawet tego nie pragnął; ale to wiedział pewnie, że go jakaś moc czarodziejska ciągnęła do Jaru. Zaledwie też wstał od obiadu, wysunął się chyłkiem z pokoju i pobiegł prosto za tym instynktowym pociągiem, — który tak nielitościwie zwykł wodzić za nosy przestarzałych kochanków i wytrzymuje ich nieraz po kilka godzin pod oknyma kochanki w tej porze, kiedy ona tańcuje na balu, a nosi ich po wszystkich balach natenczas, kiedy ona siedzi samotna w niestrzeżonym pokoju, — lecz który nigdy jeszcze nieomylił młodego serca, pierwszą natchnionego miłością.

Przybywszy Kamil na miejsce wczorajszego spotkania, zastał tylko puszczę szumiącą poważnie i dąb stary zamyślony nad brzegiem! ale pod nim jeszcze nie było nikogo. Tem jednak nie zasmucił się on wcale, bo czuł to w głębi swojego serca, że zjawisko wczorajsze musi się zjawić i dzisiaj, i czuł to tak jasno i pewnie, że był-by życie swoje postawił za prawdę tego przeczucia.

Tymczasem zaś, nim się mogło ziścić to pewne przeczucie, bo jeszcze słońce było wysoko i ledwie co odpłynęło z zenitu, błądził on po nad brzegiem Jaru i zbierał kwiatki polne i różne powoje. Nazbierawszy tych dzikich piękności pęk wielki, usiadł pod drzewem i plótł z nich wieńce i zwięzywał bukiety, i tak samo był tą robotą zajęty — jak wtenczas, kiedy błądząc nad brzegami duchowej przepaści, równie dzikie zbierał powoje i kwiaty, i także je wiązał w bukiety i wieńce. Bo młodzi równie gorąco zajmują się wszystkiem, i gdzie się tylko obrócą, wszędzie znajdują powoje i kwiaty, i wszędzie znajdują jakieś rzeczywiste lub wymarzone kochanki, do których nie można przystępywać bez bukietów i wieńców. — A czy temi kochankami są piękne po ziemi chodzące dziewice, czy fantastyczne w krainie marzeń utworzone widziadła, zawsze to tylko kochanki, do których przemawia się tylko przez kwiaty ziemi lub kwiaty serca-uczucia i z któremi się wiąże tylko wieńcami kwiatów - miłością (C. d. n.)

PIĘĆ WIELKICH NOCY.

Z poezji Anastazego Grüna

przełożył Władysław Zawadzki.

I.

Pod wschodniem niebem, kędy pośród kwiecia,
Drzemią podania z pierwszego stulecia,
Nie jedna prosta, a wymownej treści,
Powieść śród gajów różanych szeleści.

Tam ciekawemu stara baśń opowie,
I okoliczni mówią pastuszkowie:
Że co wielkanoc, o porannym świcie,
Jawi się Chrystus na ogrojca szczycie.

I patrzy na dół, kędy krzyż i ciernie,
Ongi nieść musiał, bolejąc niezmiernie,
Gdzie dumny Syon, jak granitu skała,
Jaśniał, nim pańska klątwa go strzaskała.

* * *

Była Wielkanoc, Chrystus pan z wyżyny,
Patrzał na puste, wybladłe doliny,
Gdzie proch i popiół, smutek i ruina,
I gruz na gruzie, jak cała kraina.

Czarna to ziemia smutku i niedoli,
Nakształt niedawno przeoranej roli,
Która się z czasem znów ustroi w kwiecie,
I kłosów wieńcem złocistym oplecie.

I z tej to ziemi drzewo nowej wiary,
Wzniesie się w niebo silnemi konary,
Dalekim ludom nieść będzie po wieki,
Owoc w znużeniu, i cienie śród spieki.

Dziś rydwan śmierci przeszedł po tej ziemi,
Człowiek nie chodzi jej szlaki pustemi,

Ptak tu nie śpiewa i liść nie szeleśnie,
Łąka nie kwitnie... Wszystko leży we śnie.

I tylko jeszcze jednym się odzywa,
Odgłosem życia ta puszcza nieżywa,
Słychać Cedronu szum cichy, podobny,
Do skarg poety, do pieśni żałobnej:

— «Miękko mi było w mem łożu wygodnem,
Płynąć po piaskach, i po zielu wodnem,
Nim w moję głębię z Moryjskiej wyżyny,
Spadł gród ów pyszny, strzaskany w ruiny.

«Spadł i potargał gładką fal mych tęczę,
Żem ryczał z gniewem, że z boleści jęczę,
I w pośród ostrych tłukąc się kamieni,
Niby krwią zlany zdrój mój się czerwieni.

»Zdrój mój, co niegdyś jasnemi falami,
Zwierciedlił wzgórza okryte gmachami,
I pyszny kościół, co jaśniał nad niemi,
I lud ów, niegdyś godny swojej ziemi.

»O! gładka szybo! rozpryskaj w kawały
O gruzów szczęty, o strzaskane skały,
Po co zwierciedlić ma gruz i ruiny,
Szkło, co w bogate patrzało krainy.

»Gdzie się rozszalał, jak hjena, krwi chciwy,
Najlepszy z ludzi, ów Tytus cnotliwy;
Czy, kiedy mordem serce mu dyszało,
Westchnął i tutaj, że mu dnia za mało?..

«Wznosząc swój topor, gdy z roskoszą wściekłą,
Tłukł o te mury, serceż mu nie rzekło:
Że z nich to kiedyś duch zemsty powstanie,
Na jego Romy ukamienowanie!

«O! wówczas byłby zadrżał z przerażenia,
Ów Pan tej burzy, ów Neptun zniszczenia,
I wnet spustoszeń rozhukane morze.
Na jego rozkaz ścichłoby w pokorze.

»Jak bożej klątwy widome wyrazy.
Leżą po polach trupy, sterczą gł zy,
Czarny ptak Romy polata nad niemi,
Jak kruk nad ścierwem skrzydły zwycięskiemi.

«Tu niegdyś ona, królowa miast żyła,
A cztery wzgórza swem ciałem okryła,
Cztery to kolumn, co z łoża wyrasta,
Na którem pańska spoczęła niewiasta.

«Niby przy łożu z kwiatami donice.
Kwitły w około sady i winnice,
Niby wachlarzów kręgi roztoczone,
Chwiały się gaje palmowe, zielone.

«W górze złocista kopuła kościoła,
Niby korona błyszczała z jej czoła.
Jedna korona a w łaski bogata,
Kościoł jedyny, na cały krąg świata.

«A lud tej ziemi, mężowie, dziewice,
Niby ócz dwoje, dwie jasne źrenice,
Niepoznać która z nich piękniejszą była,
Która piękniejszym blaskiem się paliła.

Królewskie członki, jej kibić spaniałą,
Trzy rzędy murów pancerzem odziało,
Lśniącym od złota na piersiach królowej,
Jam ją opływał, jak pas djamentowy.

«I oto nad nią dłoń śmierci zawisła,
Korona z głowy jej spadła i prysła,
Tu, ówdzie sterczy tylko gruzów kupa,
Są to wybladłe już kości z jej trupa.

«Tylko ich groby w skałach wykowane,
Zostały jeszcze do dziś zachowane,
I są na grobie upadłej krainy,
Jak na Libanie drobne kretowiny.

«Gdy te wspaniałe upadały mury,
Wstał tuman kurzu, poczerniały chmury,
Co najzieleńsza pociemniała niwa,
I płaszcz kurzawy dotąd je okrywa;

»A resztka ludu, z piersi rozdartemi,
Wyszła bez świątyń, bez dachu, bez ziemi,
O! wówczas lasy najstarsze ich zbladły,
Chwiać się poczęły z bolu i upadły.

«I poszło z niemi wszystko leśne ptastwo,
Odleciał słowik, dzielić ich tułactwo,
I odtąd żadna pieśń nie zaszeleści,
W owej krainie żalu i boleści.

«I poszły z nimi ich róże ojczyste,
W kraje nieznane, dalekie i mgliste,
Tam dziś wzdłuż morza szeroko rozsiane,
Kwitną w szkarłacie, jak zorze rumiane.

«Czas poszedł także, żadnej pory niema,
Wiosna nie kwitnie, nie przychodzi zima,
Gdzie nic nie rośnie, nic się nie zieleni,
Niema co więdnieć, ani schnąć w jesieni.

»Pogasły barwy, znikły wszystkie tony,
Wszystek a wszystek ślad życia stłumiony,
Jam tylko został, jak skarga szumiąca,
Jak łza w zniszczenia źrenicy wisząca.

Z dziennika podróży po Włoszech.

(Dokończenie.)

Nazajutrz rano nie poszedłem do sali, gdzieśmy zwykle wszyscy razem śniadali, i kazałem towarzystwu angielskich podróżnych oświadczyć, że wolę zostać przy ich podobno na spleen chorującym ziomku, który przyjacielskiej pomocy potrzebuje i jest jej godzien.

Istotnie około południa wyruszyli samolubni wyspiarze z Werony. Obojętnie patrzyłem za całą kalkawakatę, którą tak polubiłem, a która mi teraz zupełnie się obcą, jak

gdybym jej nigdy wcale niewidział, wydała. Tem więcej przywiązałem się do bankiera spleen cierpiącego. Chciałem go namówić na przechadzkę, abym zobaczył, jaki wpływ na umysł jego wywrze cudna okolica, na około Werony tak wspaniale się rozsuwająca. Lekkie potrawy, mocny ruch, wesoły humor — oto były lekarstwa, których panu Johnsonowi doradzić chciałem.

Jeszcze nie był ubrany, gdym przyszedł do niego, ale w dość wesołym humorze. Straszydło z owym grobowym odorem nie napastowało go więcej. Jadł i pił przy największym apetycie, mocno się ucieszył, żem przy nim pozostał, ale nie gniewał się wcale na ziomków i towarzyszów tylu przygód, którzy go listownie jak najgrzeczniej pożegnali z najserdeczniejszem życzeniem i nadzieją, że go kiedyś zdrowego w ojczyźnie zobaczą.

— Mnie trzeba spoczynku, mówił pan Johnson, spokój mi służy. Skoro tylko wielkie kommocye, szczególnie na wolnem powietrzu robię, zaraz się poruszają we mnie te materye, które ów odor trupi wydają.

— A! to być nie może, przerwałem mu. Spróbujmy, i to zaraz. Słońce tak przecudnie świeci, nie zapoznaliśmy się jeszcze z piękną tą okolicą. Ubierz się pan, pójdziemy na przechadzkę. Czas byłoby już, pozbyć się owej śmiesznej myśli, która pana tak trapi, a naszych przyjaciół z Werony wygnała. Panu nic nie brakuje, daję słowo honoru.

— Ależ, ów odor czuliśmy wszyscy, sam pan temu nie zaprzeczysz. Albożjest to możebnem, żeby ciało Consygnoryusza przez 300 lat gniło, i tak przenikliwie czuć się dało przez owe grube marmury?

Tak rozprawiał; trudno było dwa razy przestraszonemu wytłumaczyć, że to się już więcej nie powtórzy. Na różne sposoby starałem się mu to wystawić jako ułudę rozdrażnionej wyobraźni, której okoliczności barwę prawdopodobieństwa nadają, którą nasamprzód spostrzegli bojaźliwi towarzysze nasi. Wpadłem w zapał.

— Spróbuj pan, zawołałem, przekonany, że go wyprowadzę z tej fixacyi; spróbuj pan a obaczysz, że właśnie świeże powietrze na wszelkie podobne miasmatyczne choroby jest najskuteczniejszem.

Misstress B. poparła moje przedstawienia; i tak nareszcie bankier rozbrojony począł się ubierać, a to tak troskliwie, tyle wylał na siebie pachnideł, jakby się miał ukazać w pierwszem towarzystwie londyńskiem. Łatwo jednakowoż odgadnąć powód tego strojenia się. Zadzwonił na lokaja, i kazał sobie surdut przynieść. Ale służący stanął zakłopotany i począł urywając, wydobywać z siebie:

— Niewiem, co to ma się znaczyć; już wytrzymać nie mogę, i przebacz pan śmiałości mojej, ale surdut pański tak okropnie cuchnie, że go nawet przez chwilę utrzymać nie mogę.

— Mój surdut? mój surdut krzyknął blady pan John, A widzisz pan!

— Pan surowo mi zakazałeś, żebym nie przeglądał pańskich kieszeni, w których pan swój pugillares, listy, i inne drobnostki chowasz, dla tego bałem się badać powodu tego okropnego odoru.

— Czy widział kto coś podobnego, krzyknął powtórnie, ale teraz już ze złości bankier, listy! pugilares, papiery! i cóż by tam trupi zapach wydawało! Nie nie! to dla tego, żem surdut nosił podczas napadu choroby mojej.

— Przynieś tutaj ten surdut zawołałem na służącego. Panie bankierze, choroba pańska wcale nieprzewidziany obrót wzięła.

— Ha! obaczymy! westchnął bankier, i pobladł trochę Nie! mówcie co chcecie, dodał zwróciwszy się do żony, ten odor ze mnie w surdut przeszedł.

Wtem przyszedł lokaj z surdutem, niosąc go w dwóch palcach, i odwróciwszy twarz swoją. I w samej rzeczy surdut ten tak nieprzyjemnym zapachem żapełnił pokój, że bankierowa okno otworzyć i flakonik do nosa przyłożyć musiała. Ilem mógł, tłumiłem w sobie obrzydzenie, nabrałem serca i chciałem sięgnąć do kieszeni, ale bankier prosił o pozwolenie, aby sam powyciągał naprzód pugilares i listy. Ale ledwie tylko sięgnął do kieszeni, zaraz ją nazad wyrwał i osłupiał. Nie podobna opisać tego wzroku, jakim w około potoczył. Brwi mu ściągnęły się aż do połowy czoła, oczy zabłysły jak szkło, usta rozwarł, jakby chciał coś przemówić, ale ani głoski nie mógł wydobyć, nos mu się rozszerzył, z rozkoszą zda się wciągał weń obrzydły zapach, od którego jego żona mało nie zemdlała.

— Przeklęty professorze! były pierwsze jego słowa. Aż to ze mnie usłużny osieł! A ty zapaleńcze szperaczu! Czy mi kaduk nadał tego bobaka! Tak krzyczał, rzucając się bankier i wyciągnął nareszcie coś z kieszeni, czego właściwego, pierwotnego kształtu rozpoznać nie można było, i rzucił o ziemię. Co to było, to było, ale niezbita leżała przed nami przyczyna odoru trupiego. Zagadka rozwiązana, a lokaj wyniósł surdut i to coś. Bankier wyjaśnił nam rzecz całą, opowiadał, jako przed kilku dniami na drodze nieżywego bobaka znalazł, i ciesząc się z okazyi, że naturaliście niespodziankę zrobi, do kieszeni go schował. Chciał go potem wieczorem pokryjomo według metody naturalisty, któremu się często przypatrywał, przyrządzić i jemu ofiarować. Pogłoska o spadnięciu kursu wybiła mu z głowy nagle wszystkie myśli o naturalnej historyi, i takim sposobem zgnił najśliczniejszy egzemplarz bobaka. Prawda, że zakazał służącemu, przeglądać swoje kieszenie, to było całkiem na miejscu; ale dla czegoż o niczem nie mówił?

— Więc dalej! zawołałem, ledwo oddychając, na świeże powietrze. Ale bankier nie miał innego surduta, a nim krawiec mu nowy przyniósł, sam poleciałem na Castel vecchio, gdzie mię za godzinę sławetny, naperfumowany

John B.. Esq. prowadząc pod ramię swoją połowicę dogonił. Wskazywałem na wspaniałe wysokie cyprysy.

— Daj mi pan pokój z cyprysami, uśmiechnął się bankier, oni mi śmierć przypominają, i co do mnie, jam dziś kontent, że tylko bobak zeszedł z tego świata, a jam się chwała bogu! został.

Haszysz.

Używanie haszyszu, preparatu z suszonych liści rośliny *Cannabis indica*, który roskosznemu Syryjczykowi służy, jak opium Chińczykowi, już przed wiekami było na Wschodzie rozpowszechnione. Podczas wojen krzyżackich upajali się haszyszem Saraceni, gdy ruszali do boju z rycerzami zachodu. Od arabskiego *haszaszim* t. j. co haszysz używają, pochodzi nazwisko osławionych Assassynów. War z tej rośliny dolany do trunku „bang,“ który w Indyach i między Malajami zwyczajnym jest napojem, ma moc szczególną. Tak bowiem preparowany haszysz daleko silniej rozdraźnia i szkodzi, niż owe cukrowe i korzenne plasterki, które Turek jako podniętę swoich snów rozkosznych w ustach rozgryza. Jednakowoż, chociaż bezpośrednie skutki jego daleko gwałtowniej występywać się zdają niż opium, to przez częste używanie jego nie następuje przecie owe tak okropne wstrząśnienie ducha i ciała, któremu opium zażywający, nakoniec uledz muszą.

O skutkach haszyszu tak pisze pewien wojażer amerykański: Podczas pobytu mego w Egipcie zażyłem dozę haszyszu bardzo lekkiego. Doświadczenie, które wtedy na sobie zrobiłem, tak szczególne było, że będąc w Damaszku, nie mogłem się oprzeć pokusie, jeszcze raz oddać się upajającemu wpływowi tej narkotycznej rośliny. Uczułem w ciele nadzwyczajną lekkość, iż tak rzekę, eteryczność, a w duszy przedziwny dar spostrzegania śmieszności w najpowszedniejszych, zwyczajnych przedmiotach. Ten mój stan trwał pół godziny, i w przeciągu tego czasu jeszcze nie owładnął mię wpływ haszyszu tak dalece, żebym nie mógł najwyraźniej widzieć i czuć, co ze mną i we mnie się działo. Z największą ciekawością i natężeniem badałem to błogie czucie, które we wszystkich nerwach moich drgało, każde drgnięcie, które ze mnie po cząstce ciężkiej ziemskiej natury mojej strącało, aż nareszcie wydało mi się, żem przeźroczysty i lekki, jak powietrze. W około mnie cisza była, w około rozlana owa nieopisana mieszanina pół światła i pół cienia, czekałem, ażali pierwszy zefirek, któren muśnie po spokojnem źwierciedle Nilu, nie uniesie mię światami. Podczas gdy moja osoba tak dziwną metamorfozę przechodziła, przybierało wszystko w około mnie dziwaczne, arcyśmieszne postawy. Moja fajka, ster na statku, turban kapitana, dzbanki, naczynia, tak wszystko do niewypowiedzenia stało się komiczne i pocieszne, żem mimowolnie od śmiechu wstrzymać się nie mógł. Wizya ta powoli znikła, łagodne jakieś, błogie omdlenie pozostało tylko, i ukołysało mię do snu głębokiego a przyjemnego, jak kąpiel po spiekocie.

Dwaj przyjaciele moi, jeden Anglik, a drugi ziomek mój, chcieli tejże samej roskoszy użyć. Wysłaliśmy tłumacza naszego, aby nam przyniósł haszyszu.

— Per ridere, o per dormire, t. j. do śmiechu czy snu, zapytał się nas w swojej „Lingua franca.”

— Per ridere, rozumie się, odpowiedzieliśmy, ale pamiętaj, aby był mocny i świeży.

Syryjczycy zwykle przed samą wieczerzą małą dozę zażywają, bo wtedy haszysz po żołądku się rozpływa, a zatem powolniej i łagodniej działa na nerwy. My zazwyczaj wieczerzaliśmy około zachodu słońca, więc radziłem, haszysz o tym czasie zażyć. Ale moi przyjaciele lękali się, jako nowicyusze, zanadto silnego wpływu i skutków jego, woleli zatem na noc zażyć. Zgodziliśmy się na to, zamknęliśmy się na drugiem piętrze w osobnym pokoiku, gdzieśmy od ciekawych niepowołanych widzów bezpiecznie mogli się oddawać rozkoszom haszyszu.

Abdalla przyrządził nam wszystko i o zmierzchu zażyliśmy po łyżeczce od kawy. Tyle prawie zażyłem w Egipcie, a ponieważ wtedy skutek był bardzo słaby, więc nie wahałem się, jeszcze trochę dodać. Ale dzisiejszy preparat był pewnie mocniejszy; gdy wtedy tylko cukier i różowy liść zasmakowałem, to teraz coś bardzo gorzkiego i nieprzyjemnego rozpłynęło mi się po języku. Siedzieliśmy, oczekując skutków. Ale ponieważ zażyliśmy zaraz po jedzeniu, więc przez całą godzinę nie czuliśmy żadnej w sobie zmiany. Moi przyjaciele już poczęli powątpiewać. Ale ja chcąc zamysł mój wykonać, radziłem jeszcze pół łyżeczki zażyć i na to szklankę gorącej herbaty wypić; spodziewałem się bowiem, że tym sposobem, działanie haszyszu przyspieszę. Zrobiliśmy więc tak, nie znając ani miary ani granicy, której bez niebezpieczeństwa przestąpić nie wolno. Było to już o dziesiątej w nocy, na ulicach Damaszku coraz puściej i ciszej, a białe domy rozległego miasta kąpały się w złotawych promieniach księżyca. Tylko na dziedzińcu marmurowym drzemało kilku poganiaczów mułów.

Siedziałem sam na środku pokoju na sofie, moi przyjaciele rozciągnęli się na miękkich kobiercach, i gawędziliśmy. Nagle uczułem owe jakby elektryczne drgnienie moich nerwów, ale tą razą z paleniem w dołku żołądkowym połączone. Zamiast stopniowo zapadać w błogi sen, i stać się lekkim i bezcielesnym, jak powietrze, ogarnęła mię trwoga jakaś śmiertelna, jakaś dziwna, niewidoma i gwałtowna siła pędem wichru przebiegła wszystkie kanały żył moich. Krew, zdawało mi się, pomieszała się z ciałem mojem i zlała się w jedną massę. Pękły opony ciała mego, opadły po kawałku; już niewidziałem, jaka postać moja. Nic niewidziałem, straciłem wszelkie wyobrażenie o formach, czułem tylko żem się w nieskończoność rozprzestrzenił.

Krew buchając z serca przelatywała tysiące mil, zanim do płuc przebiegała. Powietrza tyle w piersiach czułem, ile go jest na całej ziemi; czaszka większą była niż całe niebios sklepienie. Po mózgu moim przelewały się bezdenne, sine powietrza otchłanie, przelatywały chmury, wiatrami pędzone, a na dnie czaszki przybita jaśniała ogromna kula słońca. Niepodobna opisać uczucia tego gwałtowność i szybkość, jakie mię opanowało. W tym stanie zachwycenia mego pojedyncze uczucia tworzyły mniej więcej z sobą powiązane obrazy, a każdy obraz odsłaniał się po jednej stronie jako fizyczny, więc mógł być do pewnego stopnia czuciem pochwycony, po drugiej stronie przelewał się w najpiękniejsze kształty, w wybujałe rozpalonej wyobraźni idey. Rozpękłem się jak meteor, ale taki, który nie zapada w ciemności, lecz z średnicy swojej bez przestanku wysyła strumienie jasności, które się rozlewają w nieprzejrzanej przestrzeni. Ogniskiem obrazu tego był dołek mego żołądka, z niego jako z średnicy wytryskały owe promienie.

Wszystko to do dziśdnia przed oczyma memi w fantazmagorycznych obrazach się przesuwa, wszystko, zdaje mi się, czuję i teraz jak w owej chwili pod bezpośrednim wpływem haszyszu; bardzo jednakże powątpiewam, czy czytelnicy wszystkie te widziadła wyobrazić sobie potrafią.

Ciekawość moja była zaspokojona, demon haszyszu zupełnie mię pokonał. Fale promienne mamideł jego przerzucały mną; olśniony blaskiem tychże, anim widział ani wiedział, kędy się unoszę. Ale bieg gorączkowy w nerwach moich, coraz szaleńszy, coraz dzikszy kąpał mię w zachwyceniu do nieopisania. Morze światła oblewa mię, a na niem igrają w najcudniejszej harmonii pryzmatyczne kolory. Właśnie przyjacielom moim, w których haszysz jeszcze nieskutkował, a zatem dziwnem okiem na mnie poglądali, w urywkowych słowach stan mój opisać usiłowałem: gdy mię nagle demon gdzieś porwał, i pod wielką piramidą Cheopsa posadził. Warstwy żółtego wapienia żarzyły się ku słońcu jak złoto, a szczyt piramidy tak wysoko się podniósł, że niebios sklepienie na nim oprzeć się mogło. Pragnąłem, ulecieć tam na ten szczyt, i w mgnieniu oka byłem już na nim wysoko, a podemną złote i zielone niwy Egiptu, szerokie i długie, jak morze, a za niemi właściwe morze, jak szyba zwierciadlana, od której słońce się odbija. Patrzę na dół, a tu dziw nowy! Cała piramida nie z kamieni złożona, ale z olbrzymich pak liścia tytoniowego. Parsknąłem od śmiechu na ten widok, śmiałem i wiłem się na krześle mojem, jakbym dostał spazmów, dopokąd aż nareszcie to widziadło jak para nie znikło, i z chaosu nieprzeliczonych obrazów całych i urywkowych, nowe cudowne widzenie się nie wyłoniło.

Coraz żywiej i jaśniej stoją dziś przedemną dziwa, na które wówczas patrzyłem, pochwytuję czarodziejską nić, która je wiązała, ale nieoczekujcie odemnie doskonałego opisu — na to ziemski język wyrazów niema, bo zwykłe oczy na tó nie poglądały. (C. d. n.)

Rozmaitość.

*** Do charakterystyki Rossyanów.** Morell w wydanem niedawno dziele swojem *Rusia as it is* tak charakteryzuje Rossyanów: «Wiadomo każdemu badaczowi dziejów świata, że Sławianie ogółem, a Rossyanie w szczególności niezwyczajnym są ludem. Nie można zaprzeczyć, że z pośród nich wiele dzielnych, sprytnych i walecznych dyplomatów i wojowników wyszło. Chociaż stosunki ich dzisiejsze równie jak i dawniejsze ich dzieje nie jedną czarną stronę mają, nie jedną czarną kartę zapełniają: musimy wyznać, że ich błędy i cnoty nie są zwyczajnego rodzaju. W żadnym kierunku nie pokazali się Rossyanie miernymi lub małymi. Wyuzdanie ich dworzaninów tak kolosalne przybrało rozmiary, jak zdzierstwo i łakomstwo ich czynowników a pijaństwo ich mużyków. Takim narodem, choćby i najwięcej miał błędów, pogardzać nie można. We wszystkiem odbija się pilność, zręczność i talent naśladowniczy. Przejdźmy wszystkie stopnie od Cara do mużyka, a spostrzeżemy, że co do energicznej woli i czynności w administracyi, Piotr Wielki wszystkich współzawodników prześcignął, podczas gdy mużyk pojętniejszy, niż którykolwiek wieśniak innego narodu, w przebiegłości żyda nieraz przewyższa.

Napoleon był tego zdania, że wyjąwszy Francuzów, Rossyanie są najlepszymi żołnierzami na lądzie. Nie wchodząc w szczegóły, nieraz czytamy, z jaką odwagą oni się biją i z jakiem poświęceniem. Choć co do zdania o fizycznym ich organizmie nie zgodzono się dotąd, wielu atoli pięknie zbudowanych mężczyzn w Rossyi natrafić można; nie tak co do kobiet; jednakowo, gdy która znajdzie się piękna, to oraz i lubością wdzięki jej czarują.

Wiele epizodów z dziejów dowodzą, że Rossyanie są narodem ponurym, krwi i zemsty chciwym; wiadomo, iż gdy raz namiętności ich się rozbudzą, to już szaleją bez granic. Z drugiej strony jest ten naród nadzwyczaj uprzejmy i ugrzeczniony; nawet pijany Rossyanin nie jest tak dziki, jak inne narody, owszem przebija się w postępowaniu jego wtedy jakowaś delikatność i przyjacielskość. I w samej rzeczy tylko tylko tak pojętna, posłuszna i porządek miłująca rassa ludzi może wytrzymać pod okropnym despotyzmem samodzierzców, jakich Rossya niejednego miała. Do cnót ich należy na czele postawić wielkie ich przywiązanie do ojczyzny i cześć ku Carowi, którego za najlepszego, lecz niestety nieraz oszukiwanego przyjaciela i opiekuna kraju i narodu mają.

Są to bardzo świetne przymioty Rossyanów, ale chcąc powiedzieć prawdę, nie można zamilczeć, że także wielkie błędy mają. Ich bystrość umysłu przechodzi bardzo często w chytrość a posłuszeństwo ich w niewolę; w żadnym kraju godność człowieka tak nie jest w poniewierce, jak w Rossyi. Waleczność ich nieraz przemienia się w barbarzyństwo, a ich dyplomacya sławną jest, ale pewnie nie z otwartości. Nie są Rossyanie bez rozumu i dowcipu, ale ich wiadomości i wykształcenie są zwykle tylko powierzchowne. Powierzchownie pobożni, usta ich prawie bez przestanku szepcą pacierze, ale wyższego, głębszego pojęcia o Bogu nie mają. Gruby materyalizm cięży na tym narodzie, który jest typem zwierzęcej siły, gdy ją porownamy z duchową potęgą reszty Europy. Niestety! Rossya okropne zabytki barbarzyństwa azyatyckiego dotąd przechowuje w swojem łonie, od Europy tylko zaś jedynie zatrute owoce cywilizacyi przejęła. W tem przyczyna, że Rossya strasznym jest wrogiem a nader niebezpiecznym przyjacielem.»

*** Francuscy turyści w Anglii.** Londyńskie Ateneum użala się, że francuscy pisarze pomimo serdecznej przyjaźni, jaka teraz oba

te narody połączą, w zdaniach swoich o Anglii wcale nie zchodzą ze stanowiska, jakie w r. 1815 zajęli, ani sobie pracę zadają, swoich nowych sprzymierzeńców choć cokolwiek bliżej poznać i sprawiedliwiej osądzać. Paryżanin mniema jak dawniej, że Londyn słońca nigdy nie widzi, że Anglik najwięcej raz na tydzień się uśmiechnie, że z roku na rok, z dnia na dzień nic na stole swoim nie zobaczy, jak rostbif. W tem mniemaniu utwierdza go jeszcze dzieło świeżo wyszłe, z którego napisu: *Un voyage de Désagrémens à Londres* już o treści sądzić możemy. Z nieochybną powagą dogmatu pisze autor tego dzieła pan *Jules Lécomte*: „Daremnieby szukać w Londynie coś duchowego, eleganckiego lub kunsztownego; nic tam nie widać prócz węgli i żelaza. Tylko w materyalnym względzie Anglicy są wielcy, o prawdziwem wykształceniu ani wyobrażenia nie mają. O oświacie tam niema ani mowy." Słowem dla p. Lecomte koncentruje się oświata tylko wewnątrz murów Paryża. O dziełach kunsztu w Anglii, niema z tym panem ani co gadać; wydają mu się one tylko lichem naśladownictwem wzorów francuskich. Jedynym artystą, którego znalazł godnym wspomnienia, ma być jakiś Sir Calicot, którego maniera mu Cuypa przypomina. Kto może być ten Sir Calicot, trudno odpowiedzieć, gdyż do dziś dnia ani w Anglii ani gdzie indziej o podobnego imienia człowieku nie wiedzą. Ależ bądźmy sprawiedliwi! Przyznajmy, że p. Lecomte nienależy do owych niemiłościwych bezwarunkowych krytyków. Robi on Anglikom przecie jedną koncessią, co do sławnego *God-dem*. „Myliłby się ten, mówi on, ktoby myślał, że ci barbarzyńscy wyspiarze przy każdej sposobności „God-dem" wykrzykują. Dawniej może to i bywało, dziś należy God-dem do rzadkich rzeczy. Musimy wyznać, że to nie jest wcale rzeczą obojętną. Jak bowiem wiadomo, Figaro trzyma God-dem za *le fond de la langue anglaise*; a więc, jeśli dzisiejsi Anglicy na drodze oświaty już tak dalece postąpili, że ta *podstawa* ich języka już całkiem stała się nie potrzebną, powątpiewać nie możemy, że przecież kiedyś, może aż *longo intervallo*, zbliżą się do ideału cywilizacyi, który tak blisko zapewne za kanałem u sąsiadów swoich znaleść mogą.

* **Epos pukających duchów.** Obywatel amerykański p. Thomas L. Harris wydał niedawno *An Epic of the Starry Haevens* t. j. *Epos o gwiezdzistych niebiosach*, który jak wyznaje w przedmowie duchy pomarłych mu dyktowały. Przez usta p. Harris wydeklamowały i wygłosiły one ten poemat, składający się z 4000 wierszy w przeciągu 14 dni, w 22 prelekcyach, a 26 godzinach i 16 minutach, w którymto czasie p. Harris jakby w zachwyceniu się znajdował. Zachwycenie to miało być rodzajem snu magnetycznego, który go całkiem niespodzianie, czasem w porę, jeździe na Pegazie niebardzo sprzyjającej owładał. P. Harris utrzymuje, że między geniuszami, którzy mu wiersze podawali, i Dante się znajdował. Kto atoli w tej epopei jakowy opis Dantowego nieba znaleźć się spodziewa, bardzo się zawiedzie. Wprawdzie krytycy amerykańscy nie czują się upoważnieni, wyrokować o objawach duchów. Dowiadujemy się jednakowoż, iż te objawienia ani są epopeją, ani zajmującemi lub poetycznemi. Jestto rapsodia tyriczna, nie bez pojedyńczych wzniosłych ustępów, lecz najczęściej bez sensu i arcynudna. Są to zwyczajne objawienia duchów w Ameryce pukających, w angielski wiersz ułożone.

Znaczenie poprzednich szarad: **1. Nagana. 2. Patrony. 3. Czarniecki.**

Szarady przez W. Ł.

5. Kto berło dzierży, me drugie posiada,
Ma pierwsza zaś prosta tylko litera,
Wszystko nam westchnienie z piersi wykrada,
Bo pochłonęło Polski bohatera.

6. Pierwsza ma wspak w rzekach i stawach przebywa,
Druga z trzecią w czynnościach nieznośną bywa,
Wszystko razem lampart, hultaj niespokojny,
W szaleństwa zabawy i rozpusty nazbyt hojny,
Rani serce, ludzi pieniądze, przyprawia rogi,
Broi i broi długo, aż naraz drapnie w nogi,
Drapnie, lecz co roku znów się pokazuje,
Znów mężom kieszeń ułatwi, spokój zatruje.

7. Pierwsza z drugą kobieta z dziejów Polski znana,
Czwarta znowu wspak z trzecią wiecznie ogniem zionie,
Druga sama, godność w Francyi pożądana,
Wszystko zaś wraz siedziało i siedzi na tronie.

1. Pierwsze i trzecie na twarzy szukamy,
Drugiem zaś samem zwykle się pytamy,
Wszystko miejsce klęski nam niegdyś zadanej,
I śmierci wodza nigdy nie odżałowanej.

* Do dzisiejszego Nru dołączona jest rycina mód. Opis w następnym numerze.

Przyjechali od dnia 14. do 15. sierpnia do Lwowa:

PP. Dolnicki Jan, z Remenowa. Winnicki Aleksander, z Lubienia. Badeni Aleksander, hr. z Krakowa.

PP. Skarbek Władysław, hr. ze Stanisławowa. Chmielewski Ambrozy, z Brzeszowa. Wojtawski Józef, z Ostrowa. Balko Antoni, z Tarnowa. Zawadzki Nikodem, z Krzywego. Niesiołowski Anzelm, ze Sokolego. Szczepański Tadeusz, z Czajkowic.

Wyjechali od dnia 14. do 15. sierpnia ze Lwowa:

PP. Łoś Henryk, do Brzeżan. Sokołowski Konstanty, do Przemyślan.

PP. Brunicki Julian, do Laszek. Libera Wilhelm, do Złoczowa. Starzeński Leopold, do Ditkowic.

Kurs telegrafowany z Wiednia 16. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	—.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	$120\frac{1}{2}$.	Medyolan za 300 lirów	$118\frac{1}{2}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	$141\frac{1}{4}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$119\frac{1}{2}$.	Agio duk. ces.	—
		Srebra agio	21.
Genua.	—.	Pożyczka 5% $86\frac{1}{8}$. $4\frac{1}{2}$	—.
Hamburg za 100 tal. banco.	$88\frac{1}{4}$.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku . . .	1289.
Liwurno.	—.	Kolej północna . . .	1740.
Londyn za 1 funt szterl.	11. 43.	Obl. ind.	80

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.	Gotówką	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 36	złr. 5 kr. 40.
Dukat cesarski	„ 5 „ 42	„ 5 „ 45.
Półimperyał zł. rosyjski	„ 9 „ 50	„ 9 „ 54.
Rubel srebrny rosyjski	„ 1 „ 54	„ 1 „ 55.
Talar pruski	„ 1 „ 47	„ 1 „ 50.
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1 „ 22	„ 1 „ 23.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . . .	„ 91 „ 18	„ 91 „ 35.
Obligacye indemnizacyjne 80 Złr. kr.		

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach**. Z drukarni **E. Winiarza**.